Nr. 24. Lwów, 15 grudnia 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

OD REDAKCYI.

Z numerem tym kończymy XXII. rocznik „*Łowca*.“ Rok bieżący był do pewnego stopnia dla naszego pisma rokiem przełomowym — niedługo bowiem po tym okresie czasu, w którym Towarzystwo zupełnie się do upadku chyliło i w którym dalsze wydawanie „*Łowca*“ było chwilami zakwestyonowanem, Wydział Towarzystwa polegając na pomocy, jakiej doznał ze strony licznych pp. Delegatów i Członków, odważył się na wydawanie „*Łowca*“ dwa razy na miesiąc, a zatem na znaczne zwiększenie kosztów wydawnictwa. Pomoc ta nie zawiodła — liczba członków Towarzystwa łowieckiego zwiększyła się do tego stopnia, że przy sprężystej administracyi fundusze wystarczyły i na pokrycie zwiększonych kosztów wydawnictwa i na spłacenie znacznych zaległości z lat dawniejszych. Wydział starał się wszelkiemi siłami, aby uczynić „*Łowca*“ jak najbardziej interesującym — wie jednak o tem, że jeszcze dużo pozostaje do zrobienia w tym kierunku. Świadomość ta niech będzie rękojmią, że w najbliższym czasie da się i tutaj znaczny postęp stwierdzić, tem bardziej, iż nikt nam tego odmówić nie może, że już wiele uczyniliśmy pod względem treści i zewnętrznej formy, jak również uregulowania wydawnictwa. Czytelnicy „*Łowca*“, szczególniej dawniejsi, są popsuci, bo pamiętają dobre jego czasy, kiedy to łamy „*Łowca*“ zapeł-

niali swoimi utworami ludzie, którzy stanowili prawdziwe potęgi w literaturze łowieckiej. Dziś jedni z nich na wieki zamilkli, inni coraz rzadziej głos zabierają. Chociaż nie mamy nadziei, aby „*Łowiec*“ odzyskał dawny swój charakter, bo wreszcie już i czasy nie są te same, spodziewamy się jednak, że potrafimy odpowiedzieć naszemu dzisiejszemu zadaniu bo i wśród młodszego pokolenia mamy ludzi, którzy z prawidziwem zamiłowaniem do łowiectwa i z gorącem doń przywiązaniem łączą zdolności, pozwalające rokować jak najlepsze nadzieje. Dzisiejsze ramy „*Łowca*“ nie wystarczają już na pomieszczenie wszystkiego, coby pomieścić się dało i należało — całe działy muszą leżeć odłogiem z wielką dla całości wydawnictwa szkodą — przydałoby się, żeby „*Łowiec*“ mógł być już wydawany co tydzień lub też zwiększył liczbę arkuszy druku. Gdy jednak jest to zależnem od zwiększenia się liczby prenumeratorów, apelujemy do szanownych przyjaciół naszego pisma, których pochlebiamy sobie, że liczymy tylu, ilu jest członków Towarzystwa, aby w zjednywaniu nowych adeptów dla Towarzystwa nie ustawali. Mamy dość znaczną liczbę delegatów, którzy po kilku, a nawet kilkunastu członków w tym roku nam zjednali, a którzy na nasze podziękowanie odpowiadali, że im to nawet bez trudności przychodziło, bo nieraz wystarczyło tylko przypomnieć, że towarzysz polowania nie jest jeszcze członkiem Towarzystwa, aby go do Towarzystwa skaptować. Jedno z czeskich towarzystw przez jeden tydzień zmieniło się do niepoznania — członkowie tego towarzystwa postanowili każdy pozyskać dwóch nowych członków w ciągu tygodnia i żaden nie zawiódł. Czyby to nie było możliwem i u nas? Czy nie byłoby rzeczą możliwą, żeby teraz, wśród częstszych polowań i częstszej z tego powodu sposobności, każdy z naszych członków choć jednego nowego pozyskał? Spróbujmy! Wszak oprócz podniesienia naszego wydawnictwa, tyle jeszcze spraw i to w najkrótszem czasie nas czeka, do których przeprowadzenia potrzeba, aby Wydział mógł oprzeć się na jak najliczniejszym zastępie myśliwych!

W kraju naszym jest siedm tysięcy myśliwych — zatem jest dosyć takich, którzy nie należą do Towarzystwa, a którzy do niego należećby mogli. Bylibyśmy bardzo dumni i bardzo szczęśliwi, gdybyśmy w najbliższym czasie mogli stwierdzić, że to, co u innych możliwe, to i u nas w dobrej sprawie udać się może.

Drugą także prośbę wnosimy w imieniu Wydziału. Wkładki od niektórych członków wpływają bardzo leniwo i często dopiero po kilkakrotnych urgensach ze strony sekretaryatu Towarzystwa. Racyonalna gospodarka funduszami Towarzystwa jest wobec tego ogromnie utrudniona. Oprócz tego wysyłanie licznych urgensów zajmuje bardzo dużo drogiego czasu sekretaryatowi, który to czas możnaby o dużo lepiej w interesie Towarzystwa wykorzystać. Ponieważ nie chodzi tu o znaczną sumę, któraby mogła robić któremukolwiek z naszych członków różnicę, za przyczynę zwłoki uważamy zapomnienie, niekiedy brak pod ręką przekazu itp. Zwracamy się też z prośbą do tych szanownych Członków, którzy nie nadsyłają wcześnie wkładek, aby raczyli nadesłać je zaraz po przesłaniu przez biuro Wydziału przekazu na wkładkę — i nie pozwalali na powtórne przypomnienie, połączone z kosztami i ze stratą czasu dla biura Towarzystwa.

Redakcya.

Ochrona kuropatw w zimie.

Ze wszystkich stron kraju słyszymy pomyślne wieści o stanie kuropatw. Rok zeszły i rok bieżący były dla rozmnoży kuropatw tak pomyślne, że liczne i obfite stadka tych ponętnych ptaków pojawiły się nawet w takich miejscach, w których ich oddawna już nie widywano. Byłoby rzeczą nie do darowania, gdyby ogół naszych myśliwych i posiadaczy polowań nie skorzystał z tej szczęśliwej sposobności i stanu tego, jaki jest, nie starał się wszelkiemi środkami podtrzymać i na stałe utrzymać. Tyle pisano już o sprowadzaniu żywych kuropatw do rozmnoży, tyle czytywaliśmy w „*Łowcu*“ argumentów „*pro*“ i „*contra*“ — a tu poczciwe ptaszęta same wzięły na siebie rowiązanie wiszącej kwestyi i odwdzięczając się Stwórcy za lekkie zimy, poczyniły ze swojej strony wszystko, żeby tylko jak najwięcej ich przybyło. Może obawiały się, że słabszej budowy ciała kolonistki przyczyniłyby się do zdegenerowania, jak dotychczas, pięknego ich rodu, może poszły za przykładem tego, którym okazano za pomocą elektroidu wyprodukowanego homunculusa, i który zastraszony o dawny dobry sposób starania się o błogosławieństwo boże, zaraz zapisał sobie chrzciny — dość, że rozmnożyły się obficie i jeżeli się nimi, Szanowny towarzyszu

z pod sztandaru św. Huberta, zaopiekujesz tej zimy i na przyszłość, będziesz miał znowu całe mnóstwo stad u siebie w jesieni. *Zwracam się zatem z gorącą prośbą do wszystkich myśliwych, żeby tej zimy, która jakoś ostro zaczyna się stawiać, zaopiekowali się kuropatwami.*

Ponieważ zaś nie wszyscy wiedzą, co trzeba robić, żeby kuropatwom pomóc do przetrzymania zdrowo ostrej naszej zimy, podaję tu sposoby, o których czytałem w nowem wydaniu „starego“ Diezla i w innych autorach.

Oczywiście najlepszym sposobem dla chronienia zwierzyny drobnej są remizy, które im dają ochronę od drapieżników i w których można w czasie wielkich śniegów żywić zwierzynę. Gdy jednak doraźnie nie można takich remiz stworzyć, a chodzi o karmienie zwierzyny, gdyż o tem należy dobrze pamiętać, że zwierzyna z zimna nigdy nie ginie ale tylko z głodu, który jest tem większy, im jest zimniej, należy dać naszym kuropatwom dostateczną ilość jedzenia w tym czasie, gdy wysokie i zamarznięte śniegi nie dadzą im się do gruntu dokopać. Należy wiec przygotować miejsca, gdzieby im jedzenie zadawać można było, a gdzieby także choć doraźne mogły znaleść kuropatwy schronienie. Podane tu rysunki same się tlumaczą — nie będę ich



więc bliżej opisywał — powiem tylko, że pal na którym spoczywa w pierszej budce łapka na ptaki drapieżne nie powinien być wysoki, gdyż jak słusznie hr. Silva-Tarouca twierdzi, ptaki drapieżne nie będą na niego siadać. Budkę tę, co na rysunku nie jest uwidocznione, ale co być zrobione powinno, należy otoczyć drutem naokoło, zacząwszy od dołu od takiej wysokości, żeby kuropatwa pod nim prześliznąć się mogła — żeby zaś wrona tego tak łatwo uczynić nie potrafiła. Trzeba bowiem i z tem się rachować, że rzucone jedzenie będą się starały zabrać kuropatwom wrony i gawrony, przyczem nie pogardzą także samą osłabioną głodem kuropatwą. Kuropatwa przyzwyczajona do biegania z pochyloną głową, którą rozchyla przed sobą trawy, przyzwyczajona do ucieczki przedewszyskiem pieszo, bez trwogi wejdzie popod drut do budki — wrona, która stąpa z podniesioną głową, jakby na jej popielatoczarnej duszy żadna plama nie ciążyła, tylko bardzo niechętnie schyli się, aby wejść do budki, tem bardziej, że przyzwyczajona do zrywania się odrazu do lotu, będzie się czuła żenowaną w rodzaju klatki, do jakiej się dostanie.



Lepszą będzie budka fig. 2. Tutaj trzeba pamiętać zostawić drzwiczki, któremiby można zarzucać jadło. Przestrzeń między poszyciem słomianem a ziemią powinna być bardzo mała, tak żeby kuropatwa tylko schylona dostać się do budki mogła, bo i tu znowu wrony się dostaną.

Dąbrowski radzi rodzaj płotu, podanego na figurze 3a i (w przecięciu) 3b. Płot taki, ustawiony ze świerczyny,



należy obwiesić kolorowemi płatkami celem odstraszania wron. W pobliżu płotu należy ustawić na krótkim palu paść na ptactwo drapieżne.



Jako karmę zadaje się pośład pszeniczny, jęczmień, tatarkę, trzeba jednak pamiętać dodać zawsze jeżeli można, coś zielonego, kiel, głąbie kapusty, buraki, w końcu kartofle, które chętnie kuropatwy dziobią. Gdy pola są odkryte, nie potrzeba dawać karmy, gdyż kuropatwy wolą sobie szukać karmy po polach i do budek nawet nie przyjdą. Hr. Silva Tarouca twierdzi, że na 100 kuropatw potrzeba 4—8 litrów pośladu, jeżeli miejsca, w których się karmę zadaje, są odwiedzane przez wrony i inne ptaki.

Gdzie teraz ustawiać takie budki? Oczywiście tam, gdzie najczęściej kuropatwy widzi się przebywające lub gdzie się je chce sprowadzić. W pierwszych dniach, póki się kuropatwy nie znęcą do budki, należy lekko pośladem powysypywać ścieżki w kierunku budki, żeby je pierwszy raz tam zwabić — potem same już tam zachodzić będą.

W końcu zarzucona kupa cierni na oczyszczoną wprzód z śniegu ziemię da także i schronienie ściganym kuropatwom i dobre miejsce do zadawania im karmy.

Nie można jednak zapominać o tem, że do miejsca takiego, do którego znęcą się kuropatwy, naturalnym porządkiem rzeczy znęcać się będą drapieżniki i to wszelkiego rodzaju. Trzeba więc pilnować budek, śledzić jakiego rodzaju drapieżnik się skrada i starać się pozbyć go w sposób jak najskuteczniejszy. Lisa można złapać w paście, które bez trudności zastawić się dadzą w tem miejscu, przez które zwykle skradać się będzie ku budce. Ptaki łapią się na łapkę koszową lub w paście, ustawione na palu. Przynętę stanowią kuropatwy, kręcące się często koło budki.

Będę bardzo szczęśliwy, jeżeli niektórzy z Szanownych czytelników „*Łowca*“ tem, co napisałam, dadzą się nakłonić do zaopiekowania się tym tak miłym, a tak niestety stosunkowo rzadkim u nas ptakiem łownym. Kuropatwa powinna i mogłaby w licznych bardzo stadach ożywiać nasze tereny myśliwskie, gdyby jej tylko trochę racyonalnej poświęcić opieki. Dla tego też jeszcze raz wzywam towarzyszów myśliwych: *Nie zaniedbujcie opieki nad kuropatwami w zimie i pamiętajcie karmić je konsekwentnie gdy w czasach one poprostu na śmierć głodową są skazane. One się wam dziesięćkrotnie odpłacą za tę drobną i niekosztowną opiekę.*

ZIMA.

Do snu się już zabiera matka ziemia w bieli,
Wprzód dziatwy część uspiła, część w dalekie strony
Wysłała, reszcie dając swe obfite plony,
Z śnieżnego puchu sobie miękkie łoże ścieli.

Z obawy, żeby ludzie zbyt nie posmutnieli,
Że z barwnych wdzięków świat jest tak ogołocony,
Zostawia im szpilkowych lasów szmat zielony,
Na okien szkle widokiem wiosny ich weseli.

W bieluchnej, brylantami wyszywanej szacie,
Jak postać posągowa, leży w majestacie.
By snu jej szmer nie przerwał, liść zrzuciły drzewa,

Pod lód się skryły rzeki, ptaków chór nie śpiewa;
Pastuszków tylko zdala zbożne brzmią piosenki,
A trzej Królowie dążą do skromnej stajenki.

Jan Kornicki.



PSIA INTELIGENCYA.

Powiada przysłowie: „Każda rada jest dobrą, gdy się jej nie potrzebuje.“ Na pozór wygląda to tak, jak gdyby wzmiankowane przysłowie było pozbawione najprostszych prawideł logiki. A przecież tak nie jest. Jeżeli który z Was, moi mili czytelnicy, był kiedy w położeniu zasięgania rady u przyjaciół i znajomych, to nie wątpię bynajmniej, że mi przyzna słuszność, gdy powiem, iż właśnie wtedy, kiedy rada staje się niezbędną, to zwyczajnie dobrej rady nie ma. A gdyby kto mimo mego zapewnienia powątpiewał jeszcze o tej wielkiej prawdzie, to na dowód ośmielę się przytoczyć radę p. Douilleta, podaną w sprawie poprawienia rasy i hodowli wyżłów. Rady tej, niechaj mi wybaczy, choćby tylko dla stwierdzenia przytoczonego u góry przysłowia, za całkiem doskonałą uznać jeszcze nie mogę i wet za wet daję radę wręcz przeciwną, a to: Nie budujmy okrętu bez prawideł dynamiki, a będziemy mieli pewność, że nie zatoniemy.

A ponieważ wyrażałem się dotychczas i wyrażać będę w sposób może nieco za stanowczy i arbitralny, więc z obawy, ażeby mię o zarozumiałość nie posądzono, oświadczam kategorycznie, iż myślę i piszę zawsze pod wpływem uczucia szczerości, które było i jest najgłówniejszą wadą moją, rozumie się samo przez się, iż tylko w takim znaczeniu wady, jak ją dzisiaj pojmujemy — wiemy bowiem o tem dobrze, że wiek dziewiętnasty, postawiwszy szelmowstwo na piedestalu cnoty, naturalnym porządkiem rzeczy wygnać musiał szczerość z rzędu ludzkich zalet.

Gdy szanowny p. Douillet, jak to z jego korespondencyi, umieszczonej w wymienionym wyżej numerze *„Łowca“* wywnioskować można, wydaje się wielkim zwolennikiem rutyny, zatem, nim wypowiem o rutynie moje zdanie, uważam za stosowne wprzód zdefiniować tak, jak ja pojmuję znaczenie wyrazów: rutyna i doświadczenie. Mianowicie: rutyna to wprawa, postępująca naprzód po szerokim, należycie utartym gościńcu i nie dopuszczająca pod żadnym warunkiem jakiegokolwiek zboczenia od przyjętych zasad; natomiast doświadczenie, to biegłość oryentowania się, którędy do celu najprędzej dostać się można. Z tego wypływa konkluzya, iż doświadczenie, zdążając do celu jak najkrótszą ścieżką, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stanie już u celu, zanim rutyna połowę drogi odbędzie.

Zastrzegam się wszakże jak najuroczyściej przeciw przypuszczeniu, jakobym mając odrobinę doświadczenia na polu układania psów, potępiał w czambuł wszelaką rutynę. Owszem, twierdzę stanowczo, że rutyna i doświadczenie przy tresurze psów, to niby dwie rodzone siostry, z których rutyna, jako starsza panna, zaczyna już zrzędzić i uważa systematyczną powolność za jedyny sposób uniknięcia błędu, podczas gdy doświadczenie w charakterze młodszej siostry, jako nowa zdobycz długoletniego experymentowania, odznacza się jeszcze nieco żywszym temperamentem.

Rutyna i doświadczenie są to dwie potęgi, którym według mego zdania żaden wyżeł oprzeć się nie może. Obie te potęgi różnią się od siebie chyba jeno tem, że rutyna, trzymając się zasad, jakie jej książka wytknęła, jest łatwiej przystępna, bo ją z książki nabyć można, podczas gdy doświadczenie unika trzymania się reguły z matematyczną ścisłością, buja sobie dowolnie po „legawej“ arenie, a mimo to zawsze staje u celu zadowolnione, że nie książka tylko wyżeł je tam zaprowadził.



Polowanie na wilki.

Otóż na pociechę zwolenników rutyny muszę wyznać szczerze, że przy rozpoczęciu układania wyżła zaczynam zawsze, przez wzgląd na surowość jej prawideł, od siostry starszej t. j. od rutyny (rozumie się z pominięciem jej pierwszego artykułu wiary) i dopiero wtedy, skoro ona swoją nudną powolnością doprowadza wyżła o żywym temperamencie do ostateczności, odwracam się do niej plecami i spieszę do młodszej siostry t. j. doświadczenia. Ono to, jako zdobycz trzydziestoletnej mej mozolnej pracy jeszcze ani razu nie odmówiło mi pomocy i wskazało przesmyk do ominięcia przeszkód napiętrzonych psim oporem w chwili tak krytycznej, kiedy już sam zwątpiłem zupełnie o pokonaniu uporu mego psiego ucznia i ze wstydem miałem uznać się za zwyciężonego. Tymczasem nie! Dzięki doświadczeniu, a nie zgryźliwej rutynie wyszedłem z opałów, jako nigdy niepokonany zwycięzca.

Dlatego dziś mogę twierdzić stanowczo, że nie ma psa, którego ułożyć nie potrafiłbym, chociażby on wcale nie był inteligentnym psem myśliwskim, tylko prostym stróżem chłopskiej chaty. Na dowód tego niech posłuży fakt, że na próbę ułożyłem psa kundysa do takiej samej służby, jaką tylko wyżeł z reguły wykonywać powinien. Przytem muszę jeszcze dodać, że z psami umiem tak dobrze się porozumieć, iż tak teorytyczny, jakoteż i praktyczny kurs nauki przy ścisłem wykonywaniu moich obowiązków zawodu, nie trwa u mnie nigdy dłużej, niż cztery tygodnie, a mimo to każdy pies, który odemnie wychodzi, nie zatraca prawie nigdy, nawet w kiepskich rękach, przyswojonej umiejętności. W obec tego zgadzam się wprawdzie ze zdaniem autora przytoczonej korespondencyi w kierunku, że im dłużej pies pozostaje w nauce, tem lepiej dla niego, ale nie mogę pojąć dlaczego rozciąga czas trwania nauki aż na blisko dwuletni okres. Czy w tym celu może, ażeby pies wszystkie gatunki ptactwa łownego zbadał swoim nosem? To zbyteczne!

Jeżeli pies poznał, choćby jeden tylko gatunek ptactwa błotnego, to zaręczam, że na suchem polu nie będzie się namyślał ani chwili, czy ma podać ubitego ptaka, czy też nie. — Jedynie tylko pies układany i używany wyłącznie na suchem polu okazuje wstręt i waha się po raz pierwszy podać ubitego kszyka lub dubelta. Ale to jest bagatela! Wszak tresura w domu powinna go i w tym względzie niezbicie przekonać, że musi robić wszystko, cokolwiek mu pan rozkaże.

Jeżeli szanowny autor wymaga do kompletnego ułożenia wyżła dwuletnego pola w celu usunięcia obawy, aby pies, podając, zwierzyny nie zgniatał, to przyznaję, iż oprócz rutyny musi posiadać spory zasób doświadczenia, albowiem jest faktem, że trafiają się psy, nawet dosyć często, które w pierwszem polu, znosząc nadzwyczaj lekko ubite ptactwo, zaczynają w drugiem polu podawaną zwierzynę zgniatać, naprzód bardzo nieznacznie, potem coraz więcej, lecz skąd to pochodzi, tego nie wiem. Przypuszczam tylko, iż pies, podając zbarczonego ptaka, który trzepiąc zdrowem skrzydłem, z pyska wymknąć mu się usiłuje, dla zapobieżenia temu ściska silniej szczęki i zyskawszy przekonanie, że mu ten sposób przytrzymanie ptaka ułatwił, używa go nadal nawet w tym wypadku, kiedy to jest zupełnie niepotrzebne.

Wtedy to następuje u wyżłów najniebezpieczniejszy okres ich służby na polowaniu, gdyż w rękach myśliwego, który złemu zaradzić nie umie i psa za to obije, mogą się zepsuć do tego stopnia, że przestaną zupełnie ptactwo aportować — i potrzeba koniecznie w tym kierunku naprawić je ponownie. Dzieje się to w sposób bardzo łatwy, gdyż dość jest odebrać od psa zgniecionego ptaka i pokazawszy mu ślady zgniecenia uderzyć go zlekka po nosie, mówiąc przy tem nie zbyt podniesionym głosem np. słowa: „To tak się nie psuje"! Jedno lub dwurazowe zaaplikowanie tego lekarstwa odnosi skutek zupełny. W obec tego pytam się, gdzie jest potrzeba zatrzymania psa w okresie układania aż do drugiego pola? Dość powiedzieć nabywającemu wyżła, jak w podobnym wypadku ma sobie postąpić, a potrzeba ta odpadnie bezpowrotnie.

A teraz drugie pytanie: kto nabędzie dwuletniego psa, którego utrzymanie w owym czasie, jak najskromniej licząc, wynosi, co najmniej 120 koron? Urzędnik? Nie, bo u niego zwyczajnie jedna bieda wsiada z gracyą na drugą i dla konsekwencyi jeszcze trzecią pogania. Zawodowy leśnik? Nie, bo u niego bieda roznosi wszystko w cztery strony świata tak dalece, iż nawet od płacenia podatku osobisto dochodowego musi być zwolniony. Więc któż jeszcze pozostaje? Aha! prawda, ostatnią deskę ratunku podaje jeszcze właściciel większej posiadłości. Ale cóż, kiedy i on wśród dzisiejszych bardzo trudnych warunków życia 200 koron, wymaganych za psa uważa za kapitał, który z lekkiem sercem dla przyjemności poświęcić nieco zatrudno przychodzi. Mniej bowiem niż 200 koron, jako ceny najniższej za psa postawić nie można, choćby z tego względu, iż trudno o człowieka, którzyby za dwuletną pracę chciał dobrowolnie przyjąć tytułem wynagrodzenia mniej, niż 80 koron.

W takich warunkach jakże pięknie ze swoimi, do sprzedaży przeznaczonymi, wyżłami będzie wyglądał „treser", któremu autor projektu każe utrzymywać całą psiarnię? To niemożebne! Ale dajcie mnie pieniądze! to znaczy niechby stosunki moje były tego rodzaju, żebym bez trudności mógł pewną kwotę znaczniejszą na ten cel poświęcić — a założę gniazdo psów, z którego cały kraj w szczenięta będzie się mógł zaopatrywać. Jeżeli ktoś w ten sposób sprawy nie załatwi, obawiam się, czy nie będą musiały wszystkie projekty rozbić się o marny szkopuł, który pieniądzem się nazywa.

Że samopomoc, którą autor, jeśli myśl jego dobrze zrozumiałem, propagować zamierza, jest chwalebną, tego nie przeczę — i piszę się na nią zawsze, kiedy tylko jest do przeprowadzenia; ale czy projektowana samopomoc u nas pójdzie, jak po maśle, to wątpię, gdyż nie przypuszczam, ażeby znalazła się w kraju taka liczba klubistów, któraby rocznie jakąś pokaźniejszą sumę dysponować mogła. A tego zdaje mi się udowadniać nie potrzebuję, że wprowadzenie nowej rasy psów myśliwskich, rozmieszczenie szczeniąt, premiowanie i t. p. bez kosztów się nie obejdzie.

Że sprawa poprawienia, względnie zaprowadzenia nowej rasy i hodowli psów jest dla myśliwych kwestyą żywotną, to nie ulega żadnej wątpliwości, gdyż i według mego zdania jest to sprawa niezmiernie ważna, wymagająca głębszego zastanowienia się i zimnej rozwagi, tak, iż dorywczo, w sposób korespondencyi

żadną miarą załatwić jej niepodobna, tem bardziej, że i o właściwościach suchych i mokrych terenów, które do układania psów są niezbędne, dałoby się jeszcze dość dużo powiedzieć.

Jednakże kończę już i odstępuję miejsce temu, komu to brzemię również tak, jak mnie, na sercu leży, a tymczasem niechaj szanowny projektodawca przyjmie moje zapewnienie, iż lubo z omawianym projektem zgodzić się nie mogę, szanuję jego poglądy i wynurzam mu na tem miejscu należytą wdzięczność za to, iż pierwszy otoczył sprawę ramami, mającemi kształt nieco wyraźniejszy. Z resztą jego wywodów zgadzam się i zauważam jeszcze tylko to, że inteligencya u psa nie jest bynajmniej naturalnym wypływem dziedziczności, lecz produktem, który później nabyć można. Wprawdzie ona bywa, ale nie musi być wrodzona, jak to autor wspomnianej korespondencyi utrzymuje, gdyż tak samo, jak człowiek nabywa większy zasób inteligencyi przez naukę i wykształcenie, tak też przez tresurę i obcowanie z człowiekiem staje się ona udziałem psiego osobnika, czego dowód miałem na psach, nie mających ani kropli krwi, pochodzącej od psów rasowych, to znaczy niekoniecznie tylko od myśliwskich.

Ażeby więc wyżej wzmiankowana kwestya, przez nagłe i gwałtowne posunięcie naprzód, nie wypadła z toru, radzę przy dalszej akcyi zachować powolność rutyny, gdyż dopóki majętniejsi nie ujmą kierownictwa w swoje ręce, dopóty będą się obawiał, czy nie zbudujemy w samej rzeczy okrętu bez steru, który zdaniem mojem powinien spoczywać w rękach majętnych ludzi choćby z tego względu, iż oni będą mogli pozbywać żywy towar po cenach takich, jakie wyłącznie na pokrycie kosztów utrzymania przychowku okażą się niezbędne.

A ponieważ dziś w tym kierunku żadnego wniosku nie stawiam, więc powiem jeno tyle, iż gdybym był zamożnym człowiekiem, to od razu przemówiłbym czynem, coś na wzór bateryi dział, przy której argumentowaniu wszystkie strzały karabinowe stają się dla ucha szeptem niedosłyszalnym.

A teraz do widzenia moi mili czytelnicy aż do następnego numeru „*Łowca*“, gdyż obecnie, już dla samej konsekwencyi, zmuszony jestem zabierać się do sformułowania mojej metody o tresurze psiej inteligencyi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kisielewski.

SARNA

napisał

A. hr. SUMIŃSKI.

(Ciąg dalszy).

(Ze zdjęciami autora.)

Dlatego to wieku sarn oznaczyć nie można, a już najmniej według parostków. Wykształcenie tychże zależne jest od najróżnorodniejszych okoliczności. Sarnik młody zrzuca później, starszy wcześniej. Nieraz w końcu grudnia spotykałem śpiczaki, którym parostki bardzo jeszcze mocno siedziały. Zupełnie to naturalne, bo i sarnik starszy i większe ma zwyczajnie parostki i więcej czasu potrzebuje na ich wykształcenie, tem bardziej, że parostki nie zaraz po zrzucie wyrastają. Potrzeba czasu na wygojenie ranek po dawnych, a zresztą i sarnik odchoruje utratę ozdoby i zawsze trochę farby. Gdy nadchodzi pora zrzutu parostków, tworzy się między guzem a różą najpierw zagłębienie w koło kości, które wkrótce wygląda jak nagryzienie i wtedy to parostki chwieją się. Przytem bledną one, tracą barwę, a zrzucone wyglądają, jak wypłowiałe, jakby bez soków, bez życia, martwe. Jak wiadomo spada najpierw pień jeden, w parę dni dopiero drugi i sarnik chodzi z t. z. tyką. Powiadają, że zagrzebuje on ozdobę głowy. Może to być, ale powód jest ten, że w tym czasie liście opadają z drzew, pokrywając wszystko, jakby dywanem. Na to spada deszcz i śnieg, które przyklepują i zamieniają wszystko z pomocą powietrza w nawóz leśny. Przypominam polowania jesienne, jak to trudno nieraz



znaleźć słomkę, lub jarząbka, gdy spadnie w takie nagromadzone liście, a wszakże większe to od pnia parostka, którego się nie szuka, ale przypadkiem znachodzi.

Sarnik niezdrów, lub postrzelony nie będzie tak regularnie zmieniał parostków — zresztą jest to zagadka, którą jak sobie tłómaczę, dalej wyjaśnię. Pisać monografię sarny, to może jedna z najniewdzięczniejszych rzeczy, dlatego, że każde zdanie da się tu obalić. Ród sarni przeróżne i niewytłómaczone okazuje zagadki w sposobie życia, zachowania się, a już największe w parostkach. Jeżeli śp. K. hr. Wodzicki pisze: „Tak przez 19 wieków umiała zręczna sarneczka ukryć przed nami zaręczyny i ślub i całe swe pożycie małżeńskie“, to jabym dodał: „a baletnik sarnik tajemnice parostkowe.“ Dlatego też to, co napisałem dotąd o parostkach jest wprawdzie regułą, ale o niezliczonej liczbie wyjątków. Widziałem sarniki chowane w zwierzyńcach, które miałem sposobność obserwować, i te po pierwszych parostkach śpiczaka od razu miały duże parostki regularnego szóstaka. A wieleż to razy tęgie szóstaki po złej zimie nędzne tylko mają parostki widłaka. W Szwecyi mają być kapitalne sarniki. Znałem majora Z., posiadającego piękny zbiór, w którym kilka egzemplarzy pochodziło z północy. Dziwna jednak rzecz, że mimo silnych, grubych, wysokich, wspaniale uperlonych pni, odnogi były tylko, jakby zaznaczone. Sarniki te miały być duże i stare, co zresztą po tych pa-

rostkach łatwo poznać można było. — Weźmy znów przeciwnie takie sarniki z Uralu, co to prasarnikami (Urbock) ich nazywają, mają one odnogi wykształcone i liczne, bo są to często ósmaki, dziesiątaki, dwunastaki etc. — Przypominam parostki syberyjskie, reprodukowane w Nr. 9 „*Łowca.*“ z r. 1898, trofea hr. Branickiego.

Choroba również wpływa na słabe wykształcenie parostków, często na spaczenie tychże i wtedy to mamy do czynienia z myłkusem.

Sarnik normalny, regularny t. z szóstak wyleniony, a więc czerwony z wytartymi parostkami, jeżeli są one grube i wysokie, to przecież idealna zwierzyna, a taki podjazd, lub podchodne jedno z najładniejszych polowań po wypoczynku wiosennym.

Sarnik nazywa się krzyżakiem wtedy, gdy parostki jego, a raczej ich pnie, prostopadłe do siebie puszczają odnogi, wtedy rozsochy pod kątem prostym wychodzą z pnia i tworzą krzyże. Jest to formacya zupełnie charakterystyczna i bardzo rzadka, — a więc też słusznie osobna i trafna nazwa jej się należy, krzyżak.

Dalej mamy parostki regularne, których róże, często i nasady pni są złączone, a inne, których róże szeroko od siebie rozstawione, rozpiętość parostków wielka, pnie zaś albo wąsko postawione prosto strzelają w górę, albo szeroko się rozchodzą i okrągławo się kończą. Inne znów aż do odnóg idą wązko, a potem się rozchodzą; wszystko to musi mieć jakieś znaczenie w rodzie sarnim, bo Pan Bóg nie stworzył niczego bez celu. — Odnogi są bardzo krótkie, średnie lub bardzo długie, albo też tylko się znaczą. Jedne cienkie, drugie grube, tępe i ostre, postawione do pni pod najrozmaitszymi kątami, pochylają się naprzód, lub opadają w tył. Róże raz płaskie rozlewają się, raz grube i zbite, obsypane perłami naróżniejszych kształtów i wielkości. Ale i na pniach perły przybierają formy najdziwaczniejsze. Od drobnych, jakby krosteczek, do często nad 2 cm. długich wyrostków.

Zwyczajnie są one symetrycznie ugrupowane wzdłuż linijek, jasnych wąziutkich paseczków, ciągnących się na pniach z dołu do góry i na około pnia symetrycznie ułożonych, — a troszeczkę po nad obwód wzniesionych. Co do koloru nareszcie jest to obszerna skala brązowego „sepia“, w różnych odcieniach, od jasnych prawie żółtych do bardzo ciemnych. Zdaje się, że zależy to od soków wiosennych gałązek i pni, na których sarnik parostki wyciera, tak, że tworzy się tu rodzaj procesu chemicznego. Dużo sarników ma końce odnóg białe, które z dala błyszczą i można rachować na to, że taki też sarnik parostki ma, albo grube albo wysokie.



Z wiekiem przybywa odnóg, wszystkie n. p. ósmaki, jakie widziałem i zabiłem, były zawsze sztuki duże, stare. Wtedy to sarnik ma cztery odnogi na pniu, to znaczy ośm razem, które znowu najróżniej mu wyrastają. Jest to ósmak regularny i o takiego trudniej, a łatwiej daleko o nieregularnego, to znaczy na jednym pniu cztery, na drugim trzy, dwie, lub żadnej odnogi.

Dziesiątaki, dwunastaki, lub dwudziestaki (patrz Wild und Hund str. 681 z r. 1898, zabity w Księstwie poznańskiem), to albo fenomeny, albo szukać ich na Uralu, na Syberyi etc.

Może gdzieś w górach o trudnym przystępie, w ogromnej kniei, spotkać jeszcze można taką „ekscelencyę“, ale to też tylko tam. Widziałem takie parostki wystawione przez jakiś czas w oknie wystawy sklepowej p. Brzostowskiego w Krakowie. Miały one 31 cm. długości, bardzo grube, o trzech pniach równych, przytem był to ósmak, po prostu wspaniały, taki praprasarnik. U nas sarnik, jeżeli dożyje czerech, pięciu lat, żyje długo — poluje się bowiem i zimą i latem, a zawsze stara się wybrać najgrubszego. Czyż to łatwo wymknąć mu się od śmierci?

A teraz drugi dział, myłkusy. Tu zdaniem mojem należy większa część sarników. Biorąc surowo, najmniejszą anormalność jest przeciwstawieniem regularności. A więc i sarnika, którego prawy pień ma trzy, lewy dwie odnogi, liczę do nieregularnych, myłkusowatych. Ciężki to wybór dla myśliwego, kapitalny regularny, czy piękny myłkus. Wystaw sobie łaskawy czytelniku łączkę podzieloną w środku drożyną, po prawej stronie tuż przy gąszczach stoi na niej potężny szóstak o grubych parostkach, a z lewej ignorując cię zupełnie, żeruje sobie myłkus o trzech pniach wysokich. — Sztuciec masz jednolufowy. Cóż zrobisz? Ja na to jedną mam tylko odpowiedź w formie prośby „św. Hubercie nie stawiaj mnie nigdy w takiej kolizyi, a daj każdego z osobna.“

Myłkus, lub mylnik (Kümmerer), to sarnik o spaczonych rogach, lub o parostkach nieregularnych. Te parostki rzecz dziwna w związku są z genitaliami. — Sarnik o jednem jądrze, lub wnęter (jak to u ogierów się zdarza) ma parostki myłkusa, choć i to nie zawsze.

Sarnik kastrowany staje się perukarzem (Perückenbock), ale także nie zawsze. — Są i perukarze z natury.

Opis takiego sarnika podaje p. E. Szwab. Sarnik zabity w grudniu 1889 r. zdrów, łojny, nigdzie znaku postrzelenia lub skaleczenia, ale genitalia w nieporządku. I to, jedno jądro wewnątrz nienormalne, bo wielkości małego orzecha laskowego, a drugiego brak zupełny. Takich wypadków mógłbym przytoczyć kilka. W majątku Dobra w Galicyi złapał się w r. 1895 sarnik perukarz w druty, zastawione ręką zbrodniczą. Znaleziono go już w stanie nieświeżym, parostki wysokości 22 cm. Innych szczegółów nie ma.

Sarnik postrzelony zrzuciwszy parostki, otrzymuje nowe od natury, ale myłkusa i znowu nie zawsze. W końcu sarnik przed wytarciem przez uderzenia o drzewa w bójkach etc. wygina, odłamuje i wykrzywia sobie miękkie jeszcze chrząstkowate parostki i takich to najwięcej. Utrzymują, że gdy zima się spóźni, a trwa długo i mrozy są silne, sarnik odmraża sobie końce parostków, które odpadają. — Postawiłbym więc teraz zdanie takie: Mamy dwa rodzaje myłkusów, z natury i sztuczne. Do naturalnych zaliczam parostki chorobą lub wybrykiem natury wykrzywione, do sztucznych uszkodzone, albo wykrzywione, wskutek postrzelenia, lub przygód, a wreszcie u kastrowanych osobników. A teraz stawiam jeszcze

śmielszą hipotezę, przyczem dodaję, że nie będę się dziwił, gdy kto zechce zbijać moje zdanie:

Pierwsze, to jest naturalne, nie zrzucają całe życie, drugie sztuczne zrzucają. — Zdanie moje opieram na doświadczeniu, choć mogłem jeszcze nie spotkać naturalnego, który jeszcze nie zrzucił. — Dalej zauważyłem, że sarnik słabo postrzelony, albo wcale nie okazuje anormalności w parostkach, albo nieznaczną, gdy przeciwnie sarnik, któremu się strzałem uszkodzi, lub przetrąci kość n. p. w badylach, jest jakby przez naturę nacechowany i otrzymuje od niej przepyszne parostki mylkusa. — Jednego takiego mylkusa historyę tu podam.

Polowaliśmy we dwóch zimową porą w rewirze bardzo ładnym, że jednak teren trudny, pagórkowaty, gąszcze i ostrężyna, więc sarny łatwo na flanki w tył uciekają. Przy tem śnieg i okiść, naganka w gąszczach gęsiego chodzi, rozstawiając się dopiero gdzieś nie daleko przed linią. Sarny i znają to i najchętniej na nagankę się rzucają. Uparliśmy się na jednego jeszcze sarnika i dopiero w ostatnim miocie za leśniczówką towarzysz mój strzelił do sarnika. Przewrócił się po strzale i bardzo farbował, ale, jak skonstatowaliśmy, badyl miał przestrzelony i powlókł się w gąszcze. A że pokładał się co chwila, wzięliśmy na niego trzy małe zakłady, za każdym jednak razem gąszczami nam się wywinął. Szaro się zrobiło, droga zła, czas było na powrót. Leśny, dobry, mówiąc nawiasem, otrzymał rozkaz odnalezienia, ewentualnie dostrzelenia sarnika. Zapewniał też mego towarzysza, że jutro do południa jeszcze sarnika doniesie. Nie udało się jednak i raport leśnego brzmiał: „Sarek żyje, kuleje, ale bardzo ostrożny."

Zima przeszła, za nią wiosna, a w czerwcu otrzymałem zaproszenie na sarnika w tymże rewirze. W tym samym miocie za leśniczówką branym w zimie podszedłem i zabiłem na czterdzieści kilka kroków sarnika, który trzy tylko miał badyle, a czwarty odstrzelony był w stawie skokowym, rana zagojona zupełnie, a blizna rzadko sierścią porośnięta. Był to bezwątpienia ten sam sarnik. Parostki miał prześliczne. Mylkus w całem tego słowa znaczeniu.

„Pierwsza miłość".

Wspomnienie myśliwego.

Przez

Alberta Mniszka.

(Dokończenie.)

Tymczasem ruszył się chłodny wiatr od wschodu, rozpędził tumany mgły, zrobiło się jaśniej, z pośród ołowianych chmur wyjrzało tu i owdzie szafirowe tło nieba, zajrzało na chwilkę i znów uciekło wesołe, ciepłe słonko, jak gdyby figlować chciało z myśliwymi, którzy w obawie przed słotą często do góry podnosili głowy. W końcu wypłynęło na większą przestrzeń lazuru, zajaśniało w całym majestacie, a czarne chmury rozpierzchły się na wszystkie strony, jak spłoszone strzałem stado kruków, zostawiając panowanie przecudnej pogodzie. Dzień nadspodziewanie zapowiadał się pomyślnie, a obfita wilgoć w ziemi i na liściach krzewów pożądaną była dla psów, które się wtedy mniej męczyły i łatwiej trop zwierza znajdowały.

Przyjechawszy do Woronnego z ojcem moim rano, zastałem już p. Raczewskiego z synem. Ci panowie bawili od wczoraj tutaj, gdyż ojciec Stefana musiał dać rozmaite dyspozycye w wilię polowania. Zazdrościłem serdecznie memu przyjacielowi wczorajszego wieczoru i miałem mimowoli żal do wszystkich i do siebie, że się to tak stało. Panna Marya, ubraną była w ciepłą, ciemno zieloną amazonkę, konno bowiem chciała udać się do lasu, a i dla nas obydwu młodych konie były przygotowane. Po krótkiem śniadaniu zajechały powozy, do których wsiedli obecna też jako widz, moja ciotka, panna Klara i starsi panowie, my zaś we trójkę wsiedliśmy na podane nam konie i popędziliśmy naprzód w kierunku kniei. Ach jak była śliczną w tej chwili ukochana dziewczyna. Dobrze zrobiona amazonka uwydatniała jej przecudną kibić. Siedziała świetnie, zdawała się być przyrośniętą do konia. Główkę jej zdobił zgrabny męski tego koloru co i amazonka kapelusik. Oczy wesołe, uśmiechnięte w oczekiwaniu bliskiej myśliwskiej uciechy, jaśniały życiem i szczęściem. Widać było, że grała w niej krew szlachetnych ojców z dziada, pradziada myśliwych. Przyjechaliśmy pod leśniczówkę i zsiedliśmy z koni. Przyjechali wkrótce i tamci państwo. Weszliśmy w las. Sieci otworzyły się by nas wpuścić i zamknęły się za nami. Pan Raczewski prowadził nas na wyciętą przez szerokość lasku linię i po kolei nas ustawiał. Pierwszy stanął mój ojciec, przy którym została i ciotka, dalej Stefan, za Stefanem panna Marya, mając przy sobie jako widza pannę Klarę, za nią stanąłem ja, a na końcu stanął sam kierujący polowaniem.

Staliśmy tak chwilkę, gdy od strony leśniczówki zagrały rogi, a w ślad za tem rozległo się szczekanie i wycie psów i nawoływanie dojeżdżaczy. Polowanie się rozpoczęło — psy były już w lesie.

Minut kilka panowała cisza, którą przerywały zdala dochodzące głosy dojeżdżaczy zachęcających psy, z bliska zaś monotonne pukania dzięciołów w spróchniałe konary drzew. Nagle, w głębi lasu, zagrał cienkim, piskliwym głosem gończak, gonił sam jeden, lecz

wkrótce inne przybyły mu w pomoc. Słychać było już kilkanaście psich głosów grających rozmaitymi tonami, które w miarę uciekania zwierzyny to przybliżały się, to oddalały od nas. W tem od strony dojeżdżaczy, padły dwa szybko po sobie następujące strzały, a na odgłos tychże zawrzało jak w ulu. Psy trafiwszy już zapewne na trop wilków, zachęcone trąbką i strzałami wpadły w formalny szał. Grały wszystkie i rozbiegły się na kilka partyi. Jedna z nich teraz wyraźnie w stronę naszą się przybliżała. Lasek w tem miejscu był stary, rzadki i pozwalał nam widzieć daleko przed siebie. Odległość między goniącymi psami, a linią strzelców, rażąco się zmniejszała. Trzymałem nerwowo ściśniętą i do strzału gotową strzelbę, a serce biło mi młotem. W tem mignęło coś w dali między pniami starych drzew i duży wilk, goniony przez zgraję psów, pędził wprost na mnie. Chwili tej nie zapomnę nigdy! Widziałem zdala błyszczące przerażeniem oczy zwierzęcia, rozwartą paszczę z białymi kłami, wiszący jak kawałek czerwonego sukna, krwawy język. Czekałem już złożony, gdy w tem wilk, czy mnie zobaczył, czy chciał zmylić pogoń, skręcił nagle w stronę mojej sąsiadki i pędził prosto do niej, jak szalony. Panna Marya jak posąg cicho z gotową do strzału bronią, za nią siedziała skulona, pełna zapewne energii miss Klara. Wilk będąc już o kilkanaście kroków od pań powtórzył swój manerw i skręcił znów w moją stronę, ale w tej chwili padł strzał; zwierz utknął silnie, ale wstał i pomykać miał dalej, gdy drugim strzałem jak piorunem rażony, padł naprzód, rulował kilka kroków i rozciągnął się, charcząc i rzucając konwulsyjnie cielskiem. Ale w tej chwili dopadły psy swą ofiarę i rozdzierać ją w naszych oczach zaczęły, gdy między nie wpadł na koniu z harapem, jak zły duch, dojeżdżacz, rozpędził je, a zabitego wilka przed moją sąsiadką na drzewo zarzucił. Gończe rozbiegły się po lesie, znikł dojeżdżacz, a za nami nowa partya psów grała i ku nam znów się zbliżała. Odgłosy te stawały się coraz głośniejsze w miarę jak się przybliżały, z powodu jednak gąszczu, który z tej strony, aż do linii dochodził nic widzieć w miocie nie można było. Powiększało to tylko emocyę i drażniło nerwy. Psy były już o kilkadziesiąt kroków, gdy poruszyły się przedemną krzaki i wilk z gąszcza wyskoczył, ale mnie zobaczywszy, jak błyskawica się skręcił i znikł w gęstwinie, nim miałem czas się złożyć. Strzeliłem za nim, już go nie widząc i rzuciłem się w to miejsce. Wilka nie było, a gonienie psów od miejsca mego strzału, dalej w las rozwiało resztę nadziei. W tem stało się coś dziwnego. Granie psów przeszło nagle w jakieś szczekanie, pisk i charczenie i doskonale poznać można było, że ta scena w jednem odbywa się miejscu.

„Twój wilk jest“ — zawołał pan Raczewski ze swego stanowiska — „psy go rozdzierają.“

Nie było wątpliwości! Wilk ranny moim strzałem wstał i psy go dogoniły. Nie namyślając się chwilki, pobiegłem w gąszcze i znalazłem się między kilkoma psami, rozdzierającymi martwą już mą zdobycz. Rzuciłem się między nie chcąc ją uratować, gdy rozjuszone psy porwały się na mnie i smutnieby się skończył mój tryumf, gdyby ojciec Stefana, nie byłby mi w czas na pomoc przybył.

Gdy granie psów stawało się coraz rzadsze, czy to ze zmęczenia czy też dlatego, że już zwierzyny więcej nie było, zabrzmiała trąbka na znak przerwy w polowaniu i udaliśmy się do leśniczówki, koło której zastawiono stół ze śniadaniem. Na murawę pod laskiem znoszono łup dzisiejszy. Poszliśmy go obejrzeć. Leżały dwa stare i dwa młode wilki prócz kilku lisów i zajęcy.

„To jeszcze nie wszystko“ — rzekł pobereżnik, patrząc na leżącą zwierzynę, — wilczyca miała czworo młodych, dwoje więc jeszcze mamy w lasku.

Dojeżdżacze zwoływali trąbieniem psy, z których większa część już była na sforach, kilka z nich tylko nie usłuchało apelu i odzywało się od czasu do czasu w gąszczach kniejki. My zabieraliśmy się do śniadania. Manierka żywo krążyła między panami, a zapach bigosu przyjemnie drażnił zmysł powonienia i apetytu nam dodawał. Panna Marya, stojąc opodal, karmiła swego wierzchowca solonym chlebem, pieściła go i w chrapy całowała.

Ja byłem od kilku dni w rozpaczy! za tydzień musiałem wyjeżdżać. Uczucie rozsadzało mi piersi. Chciałem choćby kosztem życia wydostać od mojej uwielbianej słowo jakiejś słabej nadziei i uprzedzić w tem mego przyjaciela, który także szalał z miłości, ale wobec panny Maryi, zwykle rezolutny i pewny siebie chłopak, tracił formalnie przytomność i zapominał języka w gębie.

„Panno Maryo“, rzekłem przybliżając się do niej i głaszcząc po szyi jej konia — „ślicznie zabiła pani wilka! mógłby pani pozazdrościć strzału nie jeden stary wilczarz.“

„O ile ja widziałam“ — odrzekła — „to i pan nie gorzej się spisał, tembardziej, że miałeś pan o wiele trudniejsze zadanie, strzelając wilka w gąszczu.

„Za kilka dni kończą się moje uciechy“ — powiedziałem smutno i jakby nie słysząc jej pochwały — „tu pozostawiam me szczęście i nigdy nie wyjeżdżałem stąd z tak ciężkiem sercem i strapioną duszą, jak teraz.“

„Słyszałam, że panowie już wyjeżdżają“, przerwała panna Marya, „ja bardzo za utratą moich kolegów-myśliwych żałować będę. Rozumiem, że panu smutno wyjeżdżać od osób tak drogich, ale nie widzę, byś pan tu zostawiał swe szczęście. Zresztą — dodała z figlarnym przekąsem — w gronie wesołych koleżków i przy gęsto krążących kielichach zapomnisz pan prędko o innych utrapieniach — jeżeli wogóle masz jakie.“

Z tego jej powiedzenia, tonu mowy i wyrazu twarzy, poznałem odrazu, że wie o mojem dla niej uczuciu i postanowiłem jej wyznać całą prawdę. Czułem, że jeśli jej nie powiem teraz, nie powiem nigdy.

„Panno Maryo“, rzekłem jej z dziwną jakąś rozpaczliwą energią — nie ładnie to drażnić nieszczęśliwca! Wie pani dobrze, że jeżeli, jak powiedziałem, wyjeżdżam złamany i strapiony, to dlatego, że pozostawiam tu kogoś, który mi dzisiaj jest droższym nad świat cały, jego skarby, miliony, nad zbawienie duszy nawet“.....

„Panie Janie“....

„Tak pani“, przerwałem z mocą — „pani jesteś dla mnie tym skarbem, o którym mówię, o czem zresztą wiesz dobrze! Pokochałem panią całą siłą duszy, serca i wyobraźni, cierpię niewysłowione katusze! — i dziś

błagam, nie odepchnij mnie bez przyjaznego słowa pociechy i współczucia! spraw ulgę memu biednemu sercu a wrócisz mi jeszcze szczęście z ochotą do życia.“

A ona stała jak piękny obraz, jak marzenie, jak bóstwo dobre, ale smutne. Na jej twarzy nie znać było najmniejszego gniewu lub zdziwienia. Owszem, malowała się dotąd nieznana mi słodycz i serdeczność, a oczy zabłysły jakąś niewidzialną łezką rozrzewnienia.

„Dziś wieczorem“ — rzekła cicho — „pomówimy o tem rozsądnie i rozważnie. Teraz za wiele oczu mamy na siebie zwróconych, by mówić spokojnie o rzeczach tak ważnych. Bądź pan dobrej myśli panie Janie, jestem panu szczerze życzliwą i przyjazną.“

Czułem, wracając do stołu, na mej rozpalonej uniesieniem twarzy, spojrzenia wszystkich. Rzuciłem przelotnie okiem na Stefana i widziałem jak szybko wzrok swój niespokojny z panny Maryi na mnie i na przemian przerzucał, jakby się nim pytał, co się stało. Lecz nagle głośny krzyk przy sieciach, zwrócił uwagę całego towarzystwa w inną stronę.

Kilka psów, które jak wspomniałem, ciągle jeszcze po lesie ujadały, wpadło widocznie na trop jednego z pozostałych przy życiu wilków. Zwierz wymykał się dłuższy czas swym prześladowcom, aż wreszcie w rozpaczy i wściekłości uderzył na sieć właśnie wtedy, gdy ludzie ją strzegący, korzystając z przerwy w łowach na ziemi odpoczywali i posiłkiem zajęci byli. Wilk wpadł na sieć z takim impetem, że ją powalił, plątał się w niej chwilkę i mimo krzyku nadbiegających ludzi, na zewnątrz się wydostał i uciekał teraz, co mu sił starczyło w step. Za nim pomknęły zręcznie wypuszczone charty, a panna Marya wskoczyła na konia i nim mogliśmy się połapać, co się stało, pomknęła za uciekającym zwierzem. Stefan i ja rzuciliśmy się także do koni, ale nim do nich dopadliśmy, dzielna amazonka już nas o jakie pięćset kroków wyprzedzała. Wilk uciekał w otwarte pole, ale widząc się i tu ściganym, zatoczył półkolem ku stawowi, wiedząc, że gdy wpadnie między spławy i oczerety, będzie ocalony. Panna Marya spostrzegłszy ten manewr zwierza, skręciła prosto ku stawowi i zachęcając charty, pędziła, co koń wyskoczy, by wilka uprzedzić a przeciąć mu drogę do ocalenia.

Stefan i ja znaliśmy tę okolicę dobrze, często tu polując, to też teraz na widok tego co się dzieje i co się stać może, serca nasze ścisnęły się przerażeniem.

Z lasku, w którym polowaliśmy, płynął ku stawowi potoczek, i wśród pola wpadał w głęboką, szeroką i o zupełnie stromych brzegach rozpadlinę, ciągnącą się z dwieście kroków ku oczeretom stawowym. Właśnie ku tej rozpadlinie pędziła teraz nieszczęśliwa amazonka na pewną zgubę! Wiatr wiał od niej do nas, nie mogła więc słyszeć naszych rozpaczliwych wołań. Widzieliśmy jak była już nad przepaścią, jak dzielny zwierz nie odmówił skoku, lecz jak ptak przez nią przeskoczył. Amazonka zdawała się być przez mgnienie oka uratowaną, ale rozmokłe słotą urwisko z drugiej strony rozpadliny nie wytrzymało ciężaru tylnych nóg konia, który w tej chwili na wznak wraz z swą panią w przepaść się zwalił.

Z niedającem się opisać przerażeniem pędziliśmy całą siłą naszych koni; minuta drogi dzieliła nas od miejsca katastrofy, ale czas ten zdawał się nam być wiekiem. W końcu przybyłem pierwszy, zeskoczyłem z konia, którego puściłem wolno, a sam rzuciłem się w rozpadlinę. To co ujrzałem, mogło pomieszać zmysły. Koń leżąc w potoku, wszystkiemi nogami do góry tarzał się grzbietem, usiłując powstać, pod nim leżała bezwładnie nieszczęśliwa amazonka przywalona szalonym ciężarem zwierzęcia. Usta jej wyrzucały strumienie krwi, która zaczerwieniła płytką wodę potoku. Był już i Stefan. Obaj z trudnością i niebezpieczeństwem życia, wyciągaliśmy nieszczęśliwą z pod oszalałego z przerażenia konia i nieśliśmy ją, niedającą znaku życia, ku powozom, które do nas pędziły. Złożyliśmy ją na miękkie poduszki pojazdu i oddaliśmy odchodzącej od zmysłów pannie Klarze. W godzinę później chora spoczywała w swem łożu, ale przytomności nie odzyskała.

Tego wieczoru przybył wezwany lekarz i skonstatował złamanie kilku żeber tak nieszczęśliwe, że jedno z nich naruszyło płuca. Nazajutrz wezwano z Kijowa sławnego Meringa.

. . . .

Przyszedł czas wyjazdu. Z ciężkiem, skołatanem od bolu sercem opuszczałem Krasnopole. Wyjeżdżałem z rozpaczą, bez nadziei już nawet zobaczenia więcej mej ukochanej dziewczyny. Boże, żebym mógł choć wiedzieć, co mi w tym nieszczęsnym dniu powiedzieć miała! „Bądź pan dobrej myśli, jestem panu szczerze życzliwą i przyjaźną“ — były jej ostatnie do mnie słowa i dźwięczały mi w uszach, jak jakaś rajska nie do zapomnienia piosenka!

Nieubłagane losy niosły mnie daleko, a w dumne Woronieckiego zamku komnaty zajrzało widmo śmierci. Dzielna, młoda natura, oparła się tylko na czas krótki chorobie. W dwa miesiące później kosa śmierci zcięła ten kwiat wspaniały, młodziutki, dziewiczy!....

Oto i koniec tej krótkiej powieści!

Dużo od tych tu opisanych wypadków lat już minęło, zmieniły się czasy, zmienili się i ludzie. Ciotka moja poczciwa dawno już w grobie, Stefana los zapędził nad Amur, a Woroniecki pałac stoi pustką i ruiną. Stepów ukochanych już więcej nie ujrzę! — Bo i po co? — Byłbym tam obcym między obcymi i tuliłbym się chyba do mogił!

W sercu pozostał cierń, którego nic wyrugować nie zdoła, a który jest nawet dziś dla żyjącej wspomnieniem duszy ulgą, bo pozwala myśli wrócić niekiedy w dawno minione i szczęśliwe czasy.

KORESPONDENCYE.

Łańcut, d. 28 listopada 1899.

Przesyłam listę zabitej zwierzyny na głównych polowaniach polnych w dobrach Ordynacyi Łańcuckiej:

Data 1899	Powietrze	Trwanie polowania	Rewir	zajęcy	bażantów	kuropatw	słonek	dzików	różnych	Razem
24. październ.	pogoda	od g. 12 do 4 w.	Lubartów	86	292	5	—	—	1	384
25. „	„	„ „ 11 „ 4 „	Potok	37	112	1	1	1	1	153
20. listopada	„	„ „ 11 „ 4 „	Strażów	206	441	6	1	—	—	654
21. „	„	„ „ 9 „ 4 „	Betulin-Romanówka	23	1157	1	—	—	3	1184
22. „	burza ze śnieżycą	„ „ 10 „ 3 „	Korczak	293	399	2	—	—	—	694
			Razem	645	2401	15	2	1	5	3069

Włodzimierz Lewicki.

Droginia, 6. grudnia 1899 r.

W dniu 4. b. m. odbyło się polowanie w 10 strzelb w Łubaszu, majątku p. Ksawerego Bogusza. — Położenie lasu wśród równi nadwiślańskiej, zaszanowanego (przeważnie wysoko-pienna sośnina z podszywką leszczyny) otoczonego żyznemi polami — obiecywało nam dobry stan zwierzyny — to też uprzejme zaproszenie na polowanie z radością przyjętem zostało.

Oczekiwania nasze nie zawiodły nas — stan sarn był zdumiewający. — Co za widok dla prawdziwego myśliwego — gdy w miocie widzi rudle sarn, które jak np. w miocie przedostatnim do 30 sztuk dochodziły! — To też choć na piszącego Diana łaskawą tego dnia nie była — widok tej ilości sarn, w miotach się kręcących, niezatarte wspomnienie pozostawił. — W rudlach widzieliśmy i pojedyncze białe sarny, które otoczone staranną pieczołowitością właściciela — podnoszą jeszcze urok tej obfitej w zwierzynę kniei. — Szanowny gospodarz dał się nam poznać nietylko jako dobry myśliwy — znający swoją knieję dokładnie — ale jako niezrównany organizator i komendant na polowaniu.

Gościnne przyjęcie w dworze Lubaskim — gdzie pani domu dla wszystkich równie uprzejma i miła, zakończyło ten dzień — odjeżdżając żałować mam przychodziło, że chwile w życiu miłe — tak prędko przechodzą.

Rozkład z dnia tego był 6 rogaczy, 40 zajęcy i 1 lis. — Co prawda i drugi mykita powinien był paść — a choć podobno i ten całkiem zdrów nie poszedł, jeżeli dalej swój chytry żywot prowadzić będzie, z pewnością dzieciom swym naukę z własnego doświadczenia zaczerpniętą dawać będzie, aby na polowaniu z nagonką w okolicach nadwiślańskich prosto na stanowiska marszałkowskie czesały — które czasem — broń Boże zawsze — ot tak dla pogawędki z miłym na stanowisku sąsiadem opuszczone stoją.

Kazimierz Bzowski.

Karów, w Listopadzie 1899.

W dniach 17. i 18. Listopada b. r. odbyło się polowanie w Rozhurczu, w kniei należącej do pp. Włodzimierza i Tadeusza Barańskich.

Knieja w Rozhurczu należy do prześlicznych terenów i graniczy z knieją lisowiecką „Taniawą". W ręku tak zawołanych myśliwych nic dziwnego, że knieja roi się od grubej zwierzyny a zawiera także sporo drobnej, co aż nadto daje dowodów, że przy umiejętnem staraniu i ochronie, można ją mieć i w górzystym terenie. — Po słocie dnia poprzedniego dzień 17go, a pierwszy polowania, zapowiadał się pomyślnie. — W nocy spadł mały śmieżek, słońce spoczywało pod chmurą a przy zniżonej temperaturze powietrze było spokojne, bez wiatru. — Pagórki okryte ładną ponową, na której w różnych kierunkach rysowały się tropy jeleni, dzików, sarn, lisów i zajęcy, ponętny dla każdego myśliwego przedstawiały widok, bo to pierwsza ponowa, przy której niechętnie zwierz rusza a więc dowód, że sporo go musi być w kniei. — O ósmej z rana cała nasza drużyna myśliwska ruszała do kniei konno gęsiego, za prowadzącym polowanie gospodarzem. Tak z miotu do miotu przejeżdżając, zajmowaliśmy wskazane stanowiska, oddając konie wierzchowe na czas gonu chłopcom do tej czynności przeznaczonym. Wzięto w dwóch dniach miotów 10 a na rozkładzie mieliśmy: 3 grube dziki, 13 rogaczy, 8 lisów, 28 zajęcy, 7 jarząbków, 1 cietrzewia i 1 gołębiarza, razem sztuk 61. — Gdyby nie czas huczki, dziki byłyby spokojniejsze i nie byłyby kniei opuściły. — Dla tego zastaliśmy je tylko w trzech miotach, i z tego aż 28 sztuk w jednym miocie. Pędzone strzałami w pogonce dawanymi, wyszły myśliwym jedenaście razy na strzał. — Widocznie św. Hubert nie opiekował się nami, bo brzydkich pudeł było dosyć a wypadków co niemiara. — Podpisanemu aż dwa razy klapnął express do dwóch wycinków. Jednego z towarzyszy św. Hubert rozbroił, nie dając mu doładować ani wyładować expressa. Przyj-